

Logarytm

Maciej Głowacki

Las był bliżej. Długie, sękaty gałęzie zwisały złowieszczo nad szutrową drogą, prowadzącą do domu letniskowego profesora Piotra Hurwitza. Gdy przyjechał pod koniec sierpnia, droga była oczyszczona i przejezdna, teraz trzeba by było przedzierać się przez zalegające jałowce i jeżyny.

Minęły ponad dwa tygodnie, a on nie zbliżył się nawet o krok do rozwiązania zagadnienia, z którym przybył. Jego biuro przypominało wysypisko, utworzone na skutek likwidacji jakiegoś monstrualnego oddziału bankowego. Tysiące stron zapisanych niezłomnym Sailorem o wyjeżdżonym uchwycie zalegały na dziesiątkach stert.

Wiedział, że musi dokonać przełomu za życia albo całego jego istnienie, mogło równie dobrze nigdy nie się wydarzyć.

Zbliżył wieczne pióro do kolejnej strony notesu, oczekującego cierpliwie, aż jego karty splami następna litania bełkotliwych obliczeń, przekreślanych w furii i obarczanych złośliwymi dopiskami.

Maszyna balistyczna, dzielniki napięcia, powtarzalność zastosowań.

Kolejne słowa wychodziły spod ręki matematyka, choć nie niosły ze sobą żadnej wartości. Były to jedynie ślepe uliczki, oczywistości albo wręcz przeciwnie, puste sofizmaty, którymi Hurwitz starał się nadać sobie pozoru postępu.

Wtem nastąpiło potworne skrzywienie, szelest, jakby dziki ryś wyskakujący spod podłogi wprost na plecy profesora.

– Pytałam, czy nie chciałby pan herbaty? – powtórzyła spokojnie Krzysiakowa, choć wchodząc do biura, już niosła posrebrzaną tacę z jedną, samotną filiżanką.

Hurwitz zamrugał szybko, wypuścił długi oddech nosem i wskazał na przypadkowe miejsce biurka.

Gospodyni przyzwyczajona do dziwactw przełożonego po prostu chwyciła za trzy leżące na sobie książki i zaczęła ściągać je na podłogę, balansując jedną ręką tacę.

– Te nie! – warknął nagle profesor i dopiero po chwili dodał z udawanym spokojem. – Są mi potrzebne.

Krzysiakowa spojrzała z niedowierzaniem na matematyka i bez słowa odłożyła książki z powrotem na ich miejsce, a na książki położyła zastawę.

– Ja mogę sprzątać, ale jak pan profesor ma zamiar mi utrudniać, to równie dobrze mogę tak stać.

Piotr przetarł zmęczone oczy, spojrzał na zegar naścienny, wskazujący dziewiątą i wydał z siebie krótki jęk rozpaczy.

– Bez sensu, absolutna korozja pojęć.

– Jeszcze pan nie spróbował – zaprotestowała gospodyni.

– Ja nie o tym pani Ireno. Nie o herbacie, tylko o... – zawiesił na moment głos profesor i spojrzął z politowaniem na służącą.

Irena zaczęła cierpliwie, aż rozmówca zadecyduje sam, czy dokończy zdanie, jak wypada, czy po prostu znowu odpłynie na godziny gdzieś w swoje rozmyślania, a jej odwlecze się sprzątanie piętra o kolejny dzień.

– Chodzi o maszynę integrującą i różnicującą, ale też tak naprawdę marzy mi się urządzenie, które mogłoby bezpośrednio analizować surowe dane i na podstawie wykrytych prawidłowości oddzielać z pełnym zrozumieniem twory sztuczne i naturalne. Rozumie Irena?

Gospodyni pokiwała uprzejmie głową, myśląc, że trzeba będzie męża nakłonić, by przepchał wreszcie komin po latach, bo załęgło się w nim wszystko poza dymem.

– Nawet coś tak banalnego, jak centralne twierdzenie graniczne, wie Irena? Takie... Rozróżnienie, że są w naturze rozkłady normalne, które świadczą o pewnych prawidłowościach, scentralizowanych wokół optimum wyjaśniającego.

Irena mruknęła cicho, drapiąc się po szyi. Wychodziło na to, że niedawna burza zerwała część dachówek, które teraz albo pałętają się po ogrodzie, albo leżą roztrzaskane w drobny, ceramiczny proch.

– Maszyna, która zdolna byłaby jednoznacznie odróżnić to, co istotne, od tego, co nieistotne. Wskazać sens tam, gdzie jest, a ułudę, dym, lustra, tam, gdzie nie ma. To jest właśnie to, czego szukam. Urządzenie, które powie mi, gdzie jest sztuka, a gdzie nauka. I zrobię to albo nie będę mógł z twarzą wrócić do ministerstwa.

Rozmówczyni przestąpiła z nogi na nogę, wlepiając wzrok w sufit. Nie rozmawiała z nikim spoza dachy od sierpnia. Nie to, żeby cokolwiek ciekawego miało się zacząć, ot jesień, plucha, przeziębienia, pewnie komuś wiatr przewrócił drzewo na ogrodzenie.

– Chodzi o kamień, który myśli – powiedział nagle profesor, machając dłonią przed twarzą Ireny. – W przeciwieństwie do pani.

Kobieta wzdrygnęła się z mieszaniną zdziwienia i zniesmaczenia.

– No co pan mi tu ręką? Przecież słucham, dym, lustra i kamienie, same normalne rzeczy, tylko po co się tym zajmować?

– By wiedzieć, a nie wierzyć pani Ireno – powiedział w zadumie profesor, upił łyk herbaty i odstawił z niesmakiem. – Letnia.

– Jak przynosiłam, to była gorąca, ja wiem, a pan musi uwierzyć – odpowiedziała spokojnie służąca i wyszła, przysmykając za sobą drzwi.

– Diabeł – mruknął zirytowany profesor i ponownie spojrzął na zegar. – Nie spałem od wczoraj? I jak ja mam myśleć, jak oczy tak pieką? Może zdrzemnąłbym się na moment, ale taki tyci tyci, dla dodania sił.

Matematyk położył się na pokrytej wieloletnimi plamami kanapie i złożył dłonie na mostku. Wiedział, że jeśli mocno się skupi, to obudzi się dokładnie wtedy, kiedy będzie chciał, nie musiał nawet nastawiać budzika.

– Osiemnaście dni spędzonych na myśleniu, a równie dobrze mógłbym wgapić się w ścianę – powiedział Piotr i mimowolnie obrócił twarz na zawieszane pod sufitem trofeum jelenia, nieudany prezent, który niegdyś kazał wyrzucić Krzysiakowi. – Mógłbym też oczekiwać, że ty mi coś mądrego powiesz. W końcu rogi to chyba z hebrajskiego mądrość, a przynajmniej symbol mądrości, prawda? No to powiedz mi, gdzie była twoja mądrość, jak strzelali? Po co ci rozum, skoro będziesz tutaj wisiał tak do końca świata?

Piotr miał wrażenie, że czaszka rogowca była coraz bliżej, tak jakby do niej płynął albo leciał. Powoli, ale gładko zmierzał do zakurzonej, pośliskłej nasady między pustymi oczodołami. Miał wrażenie, że światło igra sobie z nim i stwarza pozory istnienia rzeczy, których nie ma.

Z rozwartej paszczy zwierzęcia zdawał się dobiegać szum, przypominający radio, niemogące odebrać czystego sygnału.

– Co z ciebie? – spytał Piotr i włożył ucho między zęby trofeum.

W oddali słyszał zduszone, ludzkie głosy, dobiegające jak z dna głębokiej piwnicy. Gdzieś na granicy słyszalności grały silniki samolotów, słychać było świst spadających obiektów i grzmoty, jak w najgorszą burzę. Przez to wszystko przebijał się jeden dźwięk, miarowy, systematyczny stukot, jakby ktoś pukał palcami w szybę.

Nagle trzask i potworne ukłucie bólu, przypominające rozżarzone igły, przesywające twarz na wylot. Głowa jelenia zacisnęła szczęki, odrywając ucho profesora, który padł natychmiast na ziemię, szamocząc się i krzycząc wniebogłosy.

– Spokojnie! No co pan?!

Hurwitz rozwarł oczy w przerażeniu i dostrzegł górującą nad nim postać służącej, wraz z mężem umorusanym węglem. Dopiero wtedy zorientował się, że leży na podłodze i jakby jeszcze dla pewności złapał się za uszy.

– Co za czort... – wyszeptał Piotr, zamykając na moment oczy i przełykając ciężko ślinę. – Sen, nie wiecie? Sen, ale taki głupi... Takie durnoty się człowiekowi śnią.

Krzysiakowa pokiwała głową z politowaniem, jej mąż jedynie przegryzł zwyczajowo skraj wąsa i rozejrzał się mocno ukrwionymi z przepicia oczami.

– To od tych liczb. Głupotami się profesor zajmuje, to potem głupoty się śnią, bo śni się zawsze najgłupsza rzecz, którą się widziało za dnia.

– Dziękuję Irenie za tą mądrość, ale gdybym wyśnił najgłupszą rzecz, jaką widziałem, to... – Hurwitz machnął nagle ręką i zamilkł. W sumie to mógłby się wyklócać ze służbą o jakieś głupoty, ale coś ważniejszego przykuło jego uwagę. – Słyszycie?

Coś stuknęło o szybę dwa razy, a potem trzy.

Profesor obrócił się w kierunku obszernego, potrójnego okna z szerokim parapetem wewnętrznym do siedzenia. Za szybą siedział masywny puchacz, wgapiając się wielkimi oczami w trójkę mieszkańców i wybijając rytm.

Uderzył nagle dziobem pięć razy, niemalże tłukąc szybę.

Krzysiak z mocą walnął o framugę okna, płosząc nocnego drapieżnika, który zaraz spadł z parapetu, rozłożył skrzydła i bezszelestnie zniknął w podcieniu wysokich lip.

– No i co też Mirek zrobił najlepszego? – spytał z oburzeniem profesor.

– Co? Szkodnik. I jeszcze się prawie zaciąłem o framugę, trzeba uważać.

– Nie szkodnik, tylko rzadki gość. Jak często Mirek widzi sowy za dnia, słucham?

Stary Krzysiak rozłożył ręce obojętnie i bez słowa wyszedł za drzwi, by zejść na parter. Miał sporo pracy i na pewno nie było czasu na jakieś gapienie się na ptaki. Może gospodarz mógł sobie na to pozwolić, ale Mirek miał realną pracę do wykonania.

– A Irenka?

– Dla mnie to nawet obojętne, czy pan profesor będzie się patrzył na sowy, czy nawet motyle, byleby profesor nie dokarmiał myszy, bo się zalęgły w piwnicy.

– W takim razie niech już Irenka idzie, przyjdę dopiero na obiad.

Profesor wpatrywał się jeszcze przez krótki moment w okno i szumiące za nim sosny na tle kłująco błękitnego nieba, po czym ruszył w dół schodów.

Na zewnątrz było ciepło, druga połowa września oferowała gorące dni i krótkie, orzeźwiające deszcze. Zdecydowanie był to dobry czas na podróżę wzdłuż całego kraju.

– Nie mogę myśleć – powiedział na głos profesor, podwijając rękawy swetra. – Cały czas mam poczucie, jakby mój własny organizm buntował się przed zbyt długim skupieniem. Na zmianę odpływam w malignę albo wręcz przeciwnie, nie mogę przestać płytko skrobać

po własnych myślach. Wydawałoby się, że zaszyście się głuszy pomoże, ale jest tylko gorzej. Wróć z niczym do ministerstwa i będą mnie mieli za szaleńca albo głupca, bo przecież nie opracowałem niczego.

Profesor obejrzał się jeszcze na pobielony dom o ceglanym fundamencie i z zadowoleniem przeniósł wzrok na swojego Fiata Junaka, który pysznił się pod wiatą. Były to jedyne rzeczy, które w jakikolwiek sposób przypominały mu o istnieniu cywilizacji. Bał się, jakie prymitywne, groźne myśli mogły się czaić w głowach ludzi, którzy musieliby zamieszkiwać takie okolice na co dzień.

Gdy tylko wzrok gospodarza spoczął na ścianie lasu, wszystko inne zniknęło. Nie było cywilizacji, była kultura drzew, nie było samochodu, była pokryta szyszkami i mchem przestrzelina między pniami, nie było domu letniskowego, była kolumnada świerków i sufit pełen igieł.

Piotr wpierw spojrział w niebo, by zapamiętać, gdzie jest słońce, a dopiero następnie ruszył w przeciwnym kierunku, od drogi dojazdowej. Wysokie buty za kostkę dawały poczucie pewności i bezpieczeństwa, ale mimo to zapał powoli topniał z każdym krokiem. Coś było zdecydowanie nie tak, jak być powinno.

Drzewa szumiały cicho, ale korony drzew nie gięły się do ziemi ani na jotę. Zdawało się, jakby okoliczne pnie wypełniały przewalające się bałwany rozszalałego morza. W pewnym momencie profesor spostrzegł, że wtula głowę w ramiona, jakby chroniąc się od bolesnych kaskad dźwięków, jakimi zalewał go bór.

Wtem nagły huk rozerwał symfonię dźwięków, zajmując prym w repertuarze natury. To pojedynczy, zsuwający chaotyczną zasłonę szumu stukot, który rozległ się w oddali, tak nagle wyrwał profesora z objęć harmidru.

Znów dwa stuknięcia i trzy, potem pięć i siedem.

Piotr uchylił lekko usta, spojrział w górę, jakby szukał myśli pod sufitem własnej głowy i po krótkiej chwili z niedowierzaniem mruknął:

– Czyżbym na starość tracił zmysły, czy zyskiwał nowe?

Wsluchał się w następne, powolne uderzenia, które zdawały się rezonować po całym, soczyście zielonym lesie. Fale dźwięku rozchodziły się powoli, majestatycznie nabierając siły w miarę zbliżania do słuchacza, a potem godnie słabnąc, by zniknąć gdzieś na granicy odległego horyzontu.

Teraz profesor był pewny, że usłyszał wymierzone jednaście uderzeń w równo wyliczonych odstępach czasowych. Coś absolutnie nienaturalnego, dochodzącego wprost z matecznika dzikiego ostępu leśnego.

– Ktoś sobie żarty stroi albo nastraszyć mnie próbuje.

Miał nieodpartą chęć znalezienia źródła dźwięków, ciekawość drażyła w nim głęboką dziurę. Myśli nieustannie krążyły wokół prawdziwej natury zjawiska i nie pozwalały profesorowi podjąć innej decyzji, niż ruszyć dalej, w głąb lasu.

W pewnym momencie jednak nogi odmówiły posłuszeństwa i Piotr zatrzymał się, by rozważyć najgorszy możliwy scenariusz.

Mógł nie znaleźć niczego i przez długi czas zadreć się zarzutami o szaleństwo wobec samego siebie, manię, która odbierze mu tak dawno pokochaną trzeźwość osądów. A to mogłoby tylko potwierdzić szykany, jakimi ostatnimi czasy obrzucano go w Ministerstwie Spraw Wojskowych.

Nagle jednak pojawił się zgoła inny, odmienny pomysł, podchodzący do całej sytuacji na opak. Co by się stało, gdyby miał rację? Gdyby znalazł sztuczność w naturze i sam odkrył coś, czego do tej pory nigdy nie poznało ludzkie oko. Czy takie znalezisko mogłoby człowieka rozumnego złamać, powalić i odebrać zdolność myślenia wedle wyuczonych, logicznych reguł?

Kolejne dźwięki dobiegły do uszu profesora, wstrzymał się jeszcze moment i ruszył.

– Trzynaście – szepnął i postąpił krok.

Powietrze dawało coraz wyraźniejszą wilgocia. Odległe jary i wykroty spowijał błękitny nalot albo mgielny obłok, który schodzi zwykle z gór o poranku. Dywan mchu nabierał grubości z każdym krokiem, aż w końcu zmienił się w jednolity, mięsisty materac, z którego wystawały drobne odłamki kory.

Stukot był coraz bliższy. Profesor przestał liczyć uderzenia, zaczął przyspieszać, aż w pewnym momencie złapał się na tym, że przeskakuje powalone pnie brzoź. Miał wrażenie, że zagadkowy, sztuczny rytm będzie już za najbliższą warstwą szerokich buków, które odgradzały mu drogę.

Piotr przedarł się przez płaczące się dominium burzanu, skoncentrowane wokół brunatnych kolumn i wypadł na oświetloną jasno polankę, otoczoną różnorodną roślinnością. Bogactwo drzew, krzewów i prześwitujących przez trawę kwiatów, było oszałamiające. Choć widok był niezwykły, to jednak inny element przykuwał wzrok w najwyższym stopniu.

Na okrągłym głazie przysiadł człowiek, zgarbiony, wielki, pokryty skórą o kolorze dmuchawca. Zewnętrzna warstwa ciała teksturą przypominała korę brzozy i takimi samymi czarnymi naroślami jak ona była pokryta.

Nieznajomy trzymał szeroko rozwarte usta i wydawał z siebie rytmiczne, wyważone równo stuknięcia, jak dzięcioł bijący w robacze schronienie.

Piotrowi szybko uderzenia zaczęły przypominać zderzenia puchacza o szybę, były niemalże identyczne, zawierając nawet ciche drżenie wzburzonego szkła. Mimo to twarz białego człowieka zdawała się zachowywać jak tuba gramofonu, bo mimika nie ruszała się ani odrobinę, a usta były nieustannie otwarte.

Wtem cisza. Gdy tylko nieznajomy przestał wydawać z siebie dźwięki, Piotr zrozumiał, że znajduje się w całkowicie obcym miejscu, otoczonym absolutną ciszą. Nawet najdrobniejszy owad nie bzyczał w kielichach kwiatów.

– Przepraszam – wydusił z siebie Piotr, z trudem przerywając ciszę. – Zgubił się pan?

Dopiero wtedy błądzący nieznajomy wstał i chociaż nadal się garbił, jego kostropate ciało wzrastało na ponad dwa metry.

– Przepraszam – powtórzył tym samym głosem biały nieznajomy. – Zgubił się pan?

Istota postąpiła niepewny, wręcz dziecięco niezręczny krok. Bosa, pozbawiona paznokci stopa zatopiła się w mokrej ziemi. Długie, wychudzone ręce zdawały się przeszkadzać w balansowaniu nieforemnym ciałem.

Profesor czuł, jak nogi wrastają mu w ziemię. Dłoń błędziła gdzieś z tyłu, wyszukując wśród liści drogi ucieczki, choć reszta ciała ignorowała kompletnie instynkt ucieczki. Ukryty głęboko gadzi mózdzek nie pozwalał zaskoczonemu ruszyć się o krok.

Błądzący człowiek zbliżył się na odległość jednego, krótkiego skoku. Jego twarz zlewała się gładko w serię maleńkich fałdek, które nabierały kształtu z każdą sekundą. Wreszcie w pewnym momencie nieznajomy spojrzął na profesora twarzą podobną do ludzkiej, w której jednak próżno było doszukiwać się oznak zrozumienia.

Sękaty, biały paluch zbliżył się powoli do twarzy Piotra i delikatnym, badawczym ruchem przejechał wzdłuż nosa.

Ziemia wystrzeliła spod butów, profesor skoczył między drzewami, pędząc na złamanie karku. Gałęzie cięły go po twarzy, konary czepiały się ubrania, lecz on nie zważał na nic i dawał z siebie wszystko.

Krzyk wyrwał się z piersi Piotra, który odbijał się nieopatrnie od kolejnych drzew, trąc dłońmi po korze aż do krwi. Szum koron zdawał się narastać z każdej strony, krzewy gięły się nienaturalnie, wzrastały coraz wyżej, a runo leśne falowało jak łopocząca flaga.

Wtem trzask, ból i feeria barw błyskających miriadą gwiazdozbiorów przed oczami. Dopiero na końcu była ciemność i szum krwi w skroniach, który zastąpił szum drzew.

Ledwie przytomny profesor spróbował przewrócić głowę z jednego boku na drugi, uchylić choć oko, czy jęknąć o pomoc, ale na próżno. Rozległ się cichy krok w oddali, za nim następny i kolejny. Bose stopy naciskały na rozścielone szyszki, chrupiąc coraz mocniej i mocniej, aż w końcu jedynym co dało się słyszeć, były chrupnięcia, kroki i szum krwi.

– Zgubił się pan? – zabrzmiał odległy, suchy głos.

* * *

Piotr obrócił się lekko na bok i syknął z bólu. Skroń pulsowała, skóra gięła się i kurczyła, jakby wszystkie żyły chciały wyskoczyć z pęczniejącej głowy. Jedyłą ostoją spokoju, oazą na środku piekającej pustyni męki, była zwilżona szmata, którą ktoś nałożył na czoło rannego.

Coś uderzyło w okno raz i drugi, aż profesor skulił się w sobie. Zdołał po chwili otworzyć oczy i zrozumiał, że jest w domu. Przez krótki moment zastanawiał się, czy znowu nie popadł w jakieś kosmary, które kładły się długim cieniem na jego świadomości, ale rana wzdłuż czoła była aż nazbyt prawdziwa.

Pod palcami wyczuł kilka piekących drzazg i wilgoć roztartej ziemi. Wszystko zaczęło powoli wracać jakby w odwrotnej kolejności: upadek, uderzenie, ucieczka, nieznamy w lesie.

Wtedy dopiero matematyk rozchylił szeroko powieki i zaraz przymknął je, jakby próbując powstrzymać w karchach swoją wyobraźnię. Obrazy ze spotkania białej istoty zdawały mu się falować gdzieś w ciemności, jak rzut kinematografu na płótnie.

Bzdura najzwyczajsza, pomyślał profesor, mleko w szklance wody, fantazja, nie było żadnego nieznamy, tylko musiałem się jakiegoś kłusownika wystraszyć. A potem spotkałem Mirka, lecz tego nie pamiętam.

Jednak wytłumaczenie, choć zdawałoby się prawdopodobne, wcale nie uspokoiło zalęknionego gospodarza. Cały czas przed sobą widział tę bladą, gnącą się twarz, która zdawała się formować na bieżąco i mimikować inne twarze, które profesor już jakby gdzieś, kiedyś spostrzegł.

Piotr podniósł się bardzo powolnym i ostrożnym ruchem, by móc przysiąść na kanapie, na której się obudził. Kręciło mu się w głowie, a język stale oddawał metalicznym posmakiem krwi. W ostatnim odruchu jeszcze sprawdził, czy na pewno ma wszystkie zęby i odetchnął z ulgą.

– Pewnie ktoś mnie znalazł – szepnął na głos, by dodać sobie pewności, choć słabość własnej mowy tylko podkopała jego wiarę w siebie. – Może nawet ten kłusownik? Chociaż pewnie nie, bo jak daleko mogłem ujść od domu? Więc może Mirek albo nawet Irena, w końcu krzycheć musiałem, to mogli usłyszeć, echo się po lesie niesie i...

Piotr zamilkł na moment i przełknął głośno ślinę. Poczł na sobie dreszcz, jakby uzmysławiając sobie coś, co całkowicie zmieniło sytuację. Bo o ile kłusownik mógł być tylko wyjątkowo szpetnym nieszczęśliwym lub grą świateł, tak las był prawdziwy. Pamiętał doskonale ruch drzew, niemożliwy, nienaturalny.

W pamięci profesora wyrł się obraz drzewa, które gnie się do drugiego, a następnie odbija w górę, jak asymptota, by lekko ciągnąć ku prostemu pniu, ale nigdy go nie dotknąć.

Był też przecież dźwięk, który w pierwszej kolejności odwiódł go od biura. Powtarzający się, miarowy stukot. Czł w nim nienaturalność, długo odsuwał od siebie wniosek, ale w końcu musiał przyznać sam przed sobą, że słyszał wiadomość.

Coś za oknem uderzyło pięć razy o szybę.

Profesor schował twarz w drżących dłoniach, wiedział, że następna będzie przerwa, a po niej siedem uderzeń. Las wystukiwał liczby pierwsze, by go do siebie zwabić.

– Głupstwa – powiedział bez przekonania, próbując wstać.

Hurwitz przeszedł chwiejnym, niezdarnym krokiem aż do ściany, gdzie kładąc na niej palce, mógł zdobyć nieco pewności ruchów. Dalej szedł wzdłuż, po omacku, aż dotarł do schodów, po których wspiał się jedynie siłą nawyku. Zamknął drzwi na piętrze, przekręcił klucz w zamku i odetchnął głęboko.

Krótki korytarzyk prowadził do sypialni, schowka na narzędzia i biura. Gospodarz skręcił w lewo, już miał wejść do sypialni, gdy nagle usłyszał kolejną serię puknięć o szybę w biurze. Dłoń zastygła w bezruchu na klamce, a dopiero po chwili zjechała po niej ospale, jakby jej właścicielowi zabrakło siły.

Matematyk obrócił się gwałtownie, przed oczami zabłyśły mu światła i zaraz musiał oprzeć się o ścianę, by nie upaść. Skierował się do biura, otworzył drzwi i dostrzegł, jak długie promienie księżycowego światła kładą się po podłodze, przerwane pojedynczym cieniem czegoś, co stało za oknem.

Za oknem nie było nic. A raczej nie było źródła cienia, cień zdawał się sam w sobie, zarówno kształtem, który się rzucał, jak i kształtem rzucanym. Miał lekko owalną, wydłużoną formę i drugą, mniejszą wyżej, jak siedzący kot bez uszu.

Profesor postąpił krok, następny i kolejny, nie mrugając przy tym ani razu, trzymając głowę równo, tak, żeby nawet na sekundę nie stracić cienia z oczu. Znajdował się już naprawdę blisko, gdy pojął, że cień był dosłownie chmurą czerni, która zdawała się unosić sama z siebie w powietrzu.

Gdy zbliżył palce do szyby, cień zniknął, a on sam zrozumiał, że patrzy się we własne odbicie, choć jeszcze chwile temu mógłby przysiąc, że nic takiego nie miało miejsca.

Oto i następna maligna jawiła się na horyzoncie, gdy czerwona kula wzniosła się ku niebu, daleko nad drzewami. Po bardzo krótkiej chwili Piotr zdał sobie sprawę, że dziwaczny, lecący po łuku ogień, był jedyną zrozumiałą rzeczą do tej pory.

– Flara – szepnął sam do siebie, mrużąc oczy. – Raca wystrzelona na pomoc, ale skąd i po co?

Na moment świat zaczął być znowu łamigłówką, złożoną ze zrozumiałych, realnych i łatwych do przyswojenia elementów, ale gdy tylko szkarłatna błyskotka zniknęła, nad lasem znów zapanowała ciemność, wśród której księżyc wyłaniał błękitnawe kształty.

Hurwitz spojrział na własne dłonie i dostrzegł, jak kontury rozjeżdżają się i troją mu przed oczami. Przetarł powieki, myśląc, że to zmęczenie lub uderzenie w głowę jeszcze dawało się we znaki, jednakże wrażenie nie ustało. Cały świat zdawał się rozstrajać na trzy, częściowo przezroczyste warstwy, które oddalały się od siebie, aż w końcu wszystko pękło i pozornie wróciło do normy.

Mimo to w umyśle gospodarza wciąż była niepokojąca myśl, która podpowiadała cicho, że nie było tak jak przedtem. Niesforny głos na granicy absurdu i strachu mówił, że tak naprawdę wszystkie trzy części nadal są, tylko żyją już od siebie oddzielnie, a on został pośrodku nich.

– Bzdury i zmęczenie. Jednak tak niepokojące, jak tylko mogą być. Gdzie jest ukryta zapadnia? Gdzie rekwizyty? Gdzie podwójne dno i w czym tkwi cała sztuka? Na nic dowodów i na nic pomysłu, wszystko jakby jasne zamiast po prostu jasne. A może to ja już dziwaczeję na starość i gonię światła jak znudzony kocur?

Piotr położył się na leżance i wlepił wzrok w okno, za którym co rusz przemykały po nocnym niebie długie, świetliste wstęgi gwiazd. Powieki same lepiły się do siebie,

organizm domagał się snu, bo nawet najdziwniejszy sen jest bardziej akceptowalny niż choć nieznacznie skrzywiona jawa.

* * *

Ołówek zakreślił mały okrąg, wzniosł się na moment i postawił krótką kreskę nieco wyżej, po czym skoczył w bok i dodał następną. Grafitowy rysik spisywał kolejne znaki, które Piotr zdawał się obserwować bez żadnego zainteresowania.

– Pan profesor mógłby chociaż śniadanie zjeść zwyczajnie – powiedziała Krzysiakowa, szmatując podłogę.

Piotr oderwał się na moment od kartki papieru i zamrugał kilka razy zaskoczony. Był na parterze, pochylając się nad stygnącą miską zupy, w której unosiły się szatkowane grzyby. Wcale nie pamiętał, żeby schodził ze swojego gabinetu.

Przez chwilę rozglądał się jeszcze zdezorientowany i dostrzegł, że pochyła się nad rysunkiem, choć nie planował go sporządzić, ani nie pamiętał nawet, kiedy zaczął.

– Zamyśliłem się – odpowiedział bez przekonania.

– Znowu o maszynie?

– Nie, właśnie nie, tylko głowa mnie nadal boli i jakoś tak zacząłem bazgrać... Najwidoczniej tak było.

Gospościa wyprostowała się, sycząc pod nosem z bólu, zrobiła kilka wymachów ramion i trzymając nadal mop w dłoni, nachyliła się nad stołem. Szybko przekręciła głowę w jedną i drugą stronę, po czym jej twarz przybrała zmartwiony wyraz.

– Pan profesor to taki wykształcony, że i myśliciel i artysta.

Hurwitz z każdą chwilą wydawał się bledszy, wgapiając się z nowym zainteresowaniem w szkic, jakby ktoś mu go podsunął pod dłoń i nie widział go wcześniej. Był zaskoczony ilością detali, których sam nie byłby w stanie stworzyć.

– Może zmienimy zaraz opatrunek albo się pan położy?

– Nie, wszystko w porządku, po prostu w głowie mi się zakręciło, już mówiłem.

Na wyrwanej pośpiesznie kartce papieru widniał rysunek, szczegółowo ukazujący garbatą, masywną postać, która siedziała na gładkim gładzie. Dokładnie wygumkowane, białe oczy, zdawały się błyszczeć z mocą reflektorów, oślepiając każdą osobę, która chciała nazbyt długo patrzeć się na obraz.

Dookoła postaci wypisano coś na wzór aureoli, spisanej trzema rzędami znaków, wydających się jakimiś pokracczonymi kopiami liter alfabetu łacińskiego. Jednakże znaki nie wydawały się mieć żadnego znaczenia ani sensu na pierwszy rzut oka.

Piotr spojrział na kartkę i przerzucił wzrok na stygnącą zupę grzybową, z której nie wziął jeszcze ani łyka. Niezgrabnym, przyspieszającym co rusz krokiem, zaczął wspinać się na schody. Musiał sprawdzić, czy to, co nieświadomie spisał, miało jakiś sens.

– To dla kogo ja jeść robię?! – krzyknęła Krzysiakowa i pokręciła głową, dalej mamrocząc coś pod nosem.

Piotr jednym, furiackim ruchem zrzucił z biurka wszystkie książki i sterty papieru, po czym klnąc pod nosem, wyszarpał z notatnika kilka kartek. Po krótkiej chwili na biurku pojawiło się parę rzędów, w których centrum była tylko jedna zapisana kartka, na której widniał rysunek z aureolą.

– Jeśli to nie ma sensu, to wracam jeszcze dzisiaj do Warszawy na leczenie, a jeśli ma sens – zastanowił się na moment – to zostaję tu, chociażby do końca życia, dopóki nie znajdę czegoś wartościowego.

Słońce było jeszcze nisko, gdy Piotr zaczął swoją żmudną pracę. Wpierw spisał dokładnie każdy z dziwnych symboli, grupując je w słowa. Po krótkim czasie miał spisane trzy rzędy, które zdawały się zdaniami, w których na szczęście były wyraźne przerwy.

Tak oto po pierwszym spisaniu miał trzy kolumny i trzy rzędy, łącznie dziewięć słów. Pierwsza kolumna składała się z trzech, niepodobnych do niczego wyrazów. W drugiej kolumnie dwa górne wyrażenia były tymi samymi dwuliterowymi, a trzeci współdzielił z nimi tylko jeden znak. W trzeciej kolumnie wszystkie trzy słowa były jednym, czteroznakowym określeniem.

Pozostało pytanie, czy wiadomość jest po prostu zaszyfrowana, czy zaszyfrowana i w języku, którego Piotr miałby nie znać. Choć wciąż wydawało się to absurdalne, gdyż sam spisał te słowa, to jednak obcość rysunku i nietypowość własnego zachowania sprawiała, że chciał wiedzieć, co oznacza inskrypcja dookoła postaci.

– Zacznijmy od ojczystego języka – szepnął sam do siebie i zaczął rozmasowywać skronie. – wpierw samogłoski.

Minęło kilkanaście minut, a na kolejnej kartce pojawiły się te same wyrazy w kilku różnych konfiguracjach, gdzie najczęściej powtarzający się znak, był podmieniony inną samogłoską. Problemem było to, że wiadomość była tak krótka, że równie dobrze mogło w niej nie być wielu samogłosek, lub mogły nie być najliczniejsze.

Z drugiej strony, gdyby ktoś chciał przekazać mu wiadomość, zrobiłby to albo tak, aby dało się ją łatwo zrozumieć, albo w sposób naturalny, a więc niepróbujący zatrzeć reguł.

Istniały trudne do przyjęcia, jednakże powtarzające w naturze wzory, które zawsze towarzyszyły dużym liczbom. Rozkład normalny, gdzie w dążącym do nieskończoności wyrazów sensownych zdaniu, przybywałoby najszybciej samogłosek.

Przynajmniej taką nadzieję miał Piotr, spisując kolejne znaki, niemające żadnego sensu symbolicznego ani dosłownego.

Zgodnie z oczekiwaniami środkowe wyrazy okazały się najbardziej pomocne. Każdy z nich kończył się na tę samą literę i był najkrótszym wyrazem, łączącym dwa dłuższe słowa. Można było zaryzykować, że były one przyimkami. A jeśli były przyimkami, to wystarczyło spisać dwuliterowe przyimki i zacząć podstawiać je w miejsce słów.

Kolejna kartka była ryzykownym, czysto teoretycznym krokiem, Hurwitz jednak czuł, że może wrócić się i zacząć od nowa, bogatszy o poprzednie doświadczenia i wiedzę.

– Ze... We i jedno słowo. Jedno, czteroliterowe słowo, które ma sens razem z tymi. Co może być jakieś we albo ze? Fora ze dwora... Fora we dwora, bez sensu, skup się, jedno słowo, by połączyć wszystkie. Co miałyby sens, z i w... Z czymś lub w czymś. Czyli ze czegoś i we coś?

Piotr zagryzł zęby, minęła kolejna godzina, gdy uporał się z kartką, na której podłożył kombinacje samogłosek.

Ostatnie słowo kończyło się na tą samą literę, co drugie słowo domniemanych przyimków. A zatem jeśli była to litera e, to każde z trzech zdań kończyło się tym samym, czteroliterowym słowem, które kończyło się na literę e.

– Czy są takie litery, które na pewno nie wystąpią przed e, jeśli e jest ostatnie w słowie? Igrek? Może nawet a? Co się kończy na ae? Ślepy zaułek, może nie powinienem szukać czegoś, co jakieś nie jest, tylko to, co jakieś jest, lub jest czemuś podobne?

Piotr spojrzał ponownie na pierwsze słowo z pierwszego rzędu, było długie i bez jakiegokolwiek odkrytej litery. Z kolei pierwsze słowo drugiego rzędu było podobne do pierwszego słowa trzeciego rzędu. Jedno było cztero a drugie pięcioliterowe, oba miały domniemane e, jako drugą literę.

To, co po chwili rzuciło się profesorowi w oczy, to ostatnia litera obu słów, która była identyczna, ale różniła się jednym, małym trójkątem powyżej.

Hurwitz zaczął pisać na następnej kartce, nie chcąc zapaskudzić tak naciąganą hipotezą poprzednich zapisków, ale przyjmował, że mógł to być odpowiednik ojczystych, polskich liter. Gdyby było to prawdą, to takiemu znakowi najbliższe byłoby do o oraz ó lub z, ź i ż.

Nagle zatrzymał się w połowie stawiania kolejnego rzędu znaków. Na parterze coś uderzyło o podłogę z hukiem, podniósł się głos, który wybrzmiewał już wcześniej, jednak gospodarz nie zwracał na niego uwagi. Brzmiało to wszystko jak śpiew, który urwał się jakby w pół dźwięku.

Nie słyhać było nic więcej, więc Piotr zważył perspektywę chodzenia w górę i w dół po schodach, albo dalszej pracy nad czymś, co mogło go przybliżyć do wielkiego odkrycia.

Rysik ołówka skreślił twardo kolejne znaki na kartce.

– Jakie słowo może być na końcu? Cztery litery, kończące się na ie, no dalej, to jak krzyżówka... Ćmie, dmie, dnie, zwie... Nie, zwie nie, bo w już jest sprawdzone. Coś prostego, co pasuje do przyimków, ze i we... Mnie.

Piotr uderzył otwartą dłonią w blat, nieomal roztrącając kartki na boki. Zachichotał do siebie, jakby wykręcił komuś bardzo smaczny dowcip.

Już po chwili inną kartkę przyozdobiły nowe, trzy rzędy. Te jednak różniły się od spisanych parę godzin wcześniej, kompletnie obcych symboli.

– *Coś ze mnie, coś ze mnie, coś we mnie* – wymamrotał na głos i zawiesił wzrok na kartce na dłuższą chwilę.

Hurwitz warknął coś sam do siebie i obok wypisał wszystkie poznane litery, a następnie przekreślił każdą z nich i wypisał te, których jeszcze nie poznał. Powinny były być trzydzieści dwie litery, a on znał już sześć.

Coś ruszyło nagle Piotra, gdy spojrzął na znaki i dostrzegł po czasie, że rozpoczynające słowo trzeciego zdania jest dosyć proste. Zaczynało się na we, następnie były trzy nieznane litery i reszta zdania.

– Co może się zaczynać na *we* i być *we* mnie?

Matematyk wlepił wzrok w kartkę i tkwił tak dłuższy czas, nie zwracając uwagi na cokolwiek, poza własnymi myślami. Drugie zdanie wydawało się najbliższej ułożenia, brakowało tylko rozpoczynającego słowa, którego drugą literą było e, a czwartą z.

Wtem, rozległo się burczenie, dające gospodarzowi znać, że jego brzuch domaga się zaspokojenia także potrzeb fizjologicznych, bo ciekawością nie sposób się najeść.

– A mówili: jedz wcześniej, będziesz mieć więcej czasu na pracę – zamrugał nagle w osłupieniu i szybkim ruchem spisał nowe słowo na kartce. – *Jedz... Jedz ze mnie.* A to mi daje j oraz d, co mi daje w pierwszym *coś*, dwa razy d, *coś* i j na końcu. A jeśli trzymać się tych samych znaczeń oraz faktu, że nie ma wielu słów z podwójnym d, to mogłoby to być: *oddychaj ze mnie.*

W ostatnim brakującym słowie brakowało tylko jednej litery, która była tą, którą Piotr uznał za możliwą alterację innej litery, ze względu na cały trójkąt powyżej. Jednakże tylko jedna litera, tworzyła sens z całą resztą i konstruowała słowo.

Matematyk spisał po raz ostatni litery, jakby każdą z osobna i dopiero po chwili wzrokiem dał radę złożyć je w ciąg wyrazów i uszeregować od najdalszej części aureoli stworzenia, do tej najbliższej.

– Oddychaj ze mnie, jedz ze mnie, wejdź we mnie – przeczytał na głos i zamilkł.

Zabrział ryk, mocny, wściekły. Kilkanaście kolorowych ptaków podniosło się spod leśnych koron i pomknęło na wszystkie strony w strachu o własne, drobne życia.

Wraz z rykiem pojawił się też krzyk, ale zgoła inny, przerażony, piskliwy ze skrzekliwą nutą słabego ciała. Bardzo szybko krzyk przerodził się w lament, ktoś przewrócił krzesło i zbił miskę do wtóru dzwoniących o podłogę sztucców.

– A teraz co znowu? – warknął Piotr, zdenerwowany, że ktoś mu przerwał chwilę tryumfu. – Irena, co się dzieje?!

Lamenty ścichły nieznacznie, ale nadal słyhać było, że coś zdecydowanie odbiegało od spokojnej normy leśnego domu.

Piotr wstał raptownie, złapał się krawędzi biurka i poczekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie. Dopiero wtedy udało mu się postąpić kilka kroków w kierunku drzwi, a dalej schodów.

Parter był w ruinie. Jedno z krzeseł leżało roztrzaskane na kawałki, kilka innych przewrócono, stół dociśnięto z mocą do ściany tak, że aż tynk odpadł w miejscu, gdzie uderzyła krawędź blatu. Na ziemi rozrzucono zastawę stołową i kilka ozdób, które stały na połamanej już półce.

Hurwitz zszokowany rozejrzał się po swoim domu i wlepił równie zaskoczony co zły wzrok w służącą, która siedziała podkulona przy ścianie i obejmowała własne kolana. Jej ubranie było poszarpane, a po policzku spływała krew.

– Co się stało? – spytał w końcu gospodarz, ale zamiast zbliżyć się do rannej kobiety, jedynie odsunął się w bok i chwycił pogrzebacz do węgla spod kominka.

– Niedźwiedź... Wielki niedźwiedź, boże jaki brudny – chlupała Irena, powtarzając pod nosem.

– Niedźwiedź, u nas w domu? To gdzie on teraz jest?

Piotr spojrział na deski, które nosiły na sobie głębokie, długie ślady pazurów. Rzeczywiście, cokolwiek zrobiło te bruzdy, musiało być masywne i chodzić na czterech łapach, ale ślad urywał się tuż przy Irenie.

– Irena niech mi powie, gdzie się ten wielkolud podział, ja pójdę po fuzję – powiedział Hurwitz i odrzucił pogrzebacz na ziemię.

Gospodarz rozejrzał się jeszcze chwilę po ścianach, ruszył do pokoju gościnnego, po chwili zawrócił, spojrział do sypialni na dole i z coraz mocniej bijącym sercem podniósł głos na służącą.

– Gdzie jest strzelba?! Do jasnej Anielki, gdzie ją dawaliście? Gdzie jest Mirosław, gdzie jest ten niedźwiedź?!

Matematyk zatrzymał się na moment, w głowie kręciło mu się coraz mocniej, skroń pulsowała bólem, a świat zaczynał rozjeżdżać się z własnych konturów. Barwy coraz mocniej mieszały się i zmęczony mózg z trudem próbował złożyć je w całość.

Zapachniało mokrym futrem, coś dużego mruknęło tuż obok głowy Hurwitza, a na jego twarzy osiadły kropelki wody, albo innej, podobnej, bardziej lepkiej cieczy.

Piotr wdrapał się ponownie na górę po schodach, otworzył drzwi do sypialni i dostrzegł opartą o ścianę strzelbę w kącie pokoju. Chwycił kilka nabozi z pudełka w nocnej szufladce, złamał broń i załadował dwa pociski.

Broń złożyła się z powrotem z cichym kliknięciem, dając Piotrowi krótki oddech spokoju, który zaraz zniknął pod grubą warstwą lęku. Po schodach wdrapywało się coś nieznanego i masywnego.

Gospodarz przyłożył kolbę do ramienia, chwycił drugą dłońią z dala od wylotu lufy i wymierzył w drzwi. Polować wypadało, choć nigdy nie był tego wielkim zwolennikiem. Bieganie po lesie w śmiesznych strojach, zdawało mu się kiepskim sposobem na spędzanie wolnego czasu. Teraz zaś miało się okazać, że wykształcone nawyki, mogły zdecydować o przeżyciu lub śmierci.

Jakaś ciężka kończyna człapała co rusz o podłogę, zgrzytając pazurami, wywołując mocny trzask pękających pod naporem desek. Z każdym takim krokiem strzelec brał głęboki, powolny oddech, próbując opanować rozszalałe serce.

Krok, oddech, krok, oddech, krok, oddech, aż w końcu klamka opadła, odskoczyła raptownie do góry, drzwi się lekko uchyliły i Piotr nie wytrzymał. Jeden z cyngli wygiął się w tył, puszczając mechanizm w ruch.

Błysnęło światło, czok rzygnął śrutem i dopiero wtedy całe piętro ogłuszająco zarezonowało hukiem. Chmara śrucin przebiła drzwi na wylot, wystrzeliwując na boki drewniane odłamki i pył.

Drzwi odskoczyły, zatrzęsły w futrynie i odbiły z większą mocą, otwierając się na oścież. Za dziurawym, drewnianym skrzydłem nie było nic. Bardzo krótko unosiła się jedynie chmurka gorącego powietrza i opadającego tynku.

– Jasny gwint – warknął profesor, złożył się ponownie do strzału, wziął głęboki oddech i odpuścił. – A jakby to był człowiek? Myśl, po prostu myśl, albo od razu najlepiej... A niech by to wszystko.

Piotr przeszedł ostrożnie do przedpokoju, jakby samo wyjście poza obręb drzwi miało go przenieść do innego świata, albo pozwolić mu dostrzec ukrytego niedźwiedzia. Zamiast tego stanął jedynie w miejscu, gdzie kończyły się ślady pazurów. Obok nich można było dostrzec kilka, ciemnoczerwonych kropeł, które zdawały się przypominać krew.

Profesor odetchnął ciężko, rozruszał chrzęszczącymi ramionami i ze spokojniejszą głową przeszedł długim krokiem nad plamą, nie chcąc w nią wdepnąć.

Po schodach ciągnęły się podobne, głębokie ślady pazurów, ale nie sposób było dostrzec ich właściciela.

Gospodarz przymknął na moment oczy, wsłuchał się dokładnie w dźwięki, ale wyłapał jedynie szepczącą do siebie Irenę, która najwidoczniej nadal nie podniosła się z podłogi zdemolowanego parteru.

Zszedł ostrożnie, oparł broń o ścianę i nachylił się nad płaczącą kobietą.

– Odpowiadaj mi na pytania, tak? – spytał Piotr i nie czekając na to, czy służąca zrozumiała, przeszedł do zasadniczej części. – Czy widziałaś tego niedźwiedzia. To znaczy całego, z pyskiem, pazurami, wszystkim.

– Tak, przez chwilę – wychlipała.

– A potem co?

– Zaczął szarpać wszystko, miotać się jak wścieknięty, a potem chciał mnie łapać, ale półkę złamał i zniknął.

– To wszystko? Musisz mi powiedzieć o wszystkim, to może być ważne.

– Kiedy ja nic nie zrobiłam, naprawdę! Wielki był i śmierział, aż zasłoniłam się szmatą do podłogi, bo nie mogłam wytrzymać, tylko skuliłam się i dalej pan profesor przybiegł z góry.

– Tą szmatą, co ją ma Irena w dłoniach?

Kobiecina ostrożnie pokiwała głową, wyciągając przed siebie mokry, szary kawałek płótna, z którego skapywała brudna woda.

Piotr odsunął się, ponownie chwycił pogrzebacz z podłogi i ostrożnie, samym koniuszkiem wyciągnął szmatkę z dłoni Ireny, po czym położył materiał na kominku.

– No co pan profesor? – spytała już śmielej służąca.

– Co jest w tej szmatce?

– A co ma być? Popłuczyny, brud, kurze.

– Ale czym Irena zmywała podłogę?

– Wodą... – odparła Krzysiakowa, ale po chwili dostrzegła, że przełożony jest wściekły na całą sytuację i może nie warto brać na siebie odpowiedzialności za niedźwiedzia.

– Ja zawsze rumianek dodaję, żeby pachniało, a że teraz taka pora roku to jeszcze miazgę z kasztanów, bo na polerowanie drewna jest dobra. No i to się w móździerzyku gniecie i miesza z gorącą wodą.

Piotr pokiwał głową, rozejrzał się i spojrzał na roztrzaskaną miskę po zupie, jednak sama zupa spryskała bardzo niewielką powierzchnię. Gdzieniedzie leżało kilka kawałków grzybów, ale poza tym nic.

– A co z zupą?

– Grzybowa... No robi się tak, że...

– Wiem, jak się gotuje zupę grzybową do jasnej cholery! Pytam, gdzie ona jest, bo na pewno nie na podłodze, a widzę, że miska rozbita!

– Bo pan profesor nie chciał jeść, to ja wyjadłam, żeby się nie zmarnowało – odpowiedziała cicho, ale zaraz zastrzegła odważniej. – Ja mam dla profesora jeszcze, ja nie zjadłam całej, jest garnek...

– Cicho! – podniósł głos Hurwitz, rozglądając się po zniszczonym domu. – Próbuje to wszystko poskładać w całość.

Piotr zasepił się na moment, postawił jedno z krzeseł do pionu i usiadł na nim. Jego twarz migąła co chwila nowymi grymasami, gdy stawał naprzeciw kolejnych myśli i możliwych wyjaśnień sytuacji. Nic jednak nie wydawało mu się ani zrozumiałe, ani logiczne w żadnym stopniu.

– Ja uderzyłem się w głowę, a Krzysiakowa zatrula grzybami.

– Co też...

– A to wszystko do tego, że cały dom pachnie jeszcze tą mieszaniną z wiadra.

– Ale to tylko rumianek i kasztany, a nie...

– To gdzie ten niedźwiedź?! – ryknął Piotr, ale zaraz wziął głęboki oddech i schował twarz w dłoniach.

Gospodarz miał się za człowieka nauki, chciał rozumieć świat, ale na swoich zasadach. Nie był w stanie zaakceptować czegoś sprzecznego z wcześniej wyrobionymi poglądami, co zresztą było naturalną cechą dla uczonych w pewnym wieku. Frustracja narastała w nim, a on nie potrafił się w żaden sposób przed nią obronić, ponieważ nigdy wcześniej nie musiał.

Przez krótki moment matematyk wsłuchiwał się jeszcze w odczucia własnego organizmu, a potem dla bezpieczeństwa sprawdził każdy pokój, w poszukiwaniu intruza. Niedźwiedź, choć nie wiadomo czy prawdziwy, zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Nikt nie miał nic do dodania, więc Piotr przysiadł na wypłowiałym szezlongu i zaczął palić papierosa, podczas gdy Irena sprzątała pozostałości po awanturze.

– Co z podłogą? – spytała nieśmiało.

– Nie wiem... Może to my zwariowaliśmy i udawaliśmy na zmianę niedźwiedzia, grzebiąc w deskach nożami albo czymś innym? Zdaje mi się, że człowiek robi różne rzeczy, gdy odchodzi od zmysłów i...

– Nie, co ja mam zrobić z dziurami w podłodze.

– Ach, no tak. – Piotr patrzył się długo w pustkę, dopalając papierosa, po czym sięgnął po następnego, nie mogąc zebrać się na odpowiedź.

– To może byśmy do wsi po księdza zajechali?

Piotr zamrugnął kilka razy w zdziwieniu, po czym z wyraźnym zażenowaniem pokiwał głową na boki.

– Irena chyba nie uważa, że Belzebub wskoczył do domu przez okno, przewrócił stół, zbił miskę z zupą i...

– Nic nie uważam, po prostu myślę, że warto...

– Myślenie proszę zostawić mnie – uciął profesor i zmrużył oczy, kładąc się wygodniej z poduszką pod głową.

Wieczór przyszedł szybko, a opadające słońce zabierało ze sobą resztki pewności, jaką może dać tylko jasny ogląd na rzeczywistość. Została tylko nijaka szarość, zlewająca ścianę lasu w jednakowy pejzaż wyciągniętych do nieba czubków drzew.

Piotr znów siedział w swoim biurze, tym razem jednak z dłonią, która zamiast do kubka z herbatą, stale uciekała w kierunku strzelby. Oparta o biurko broń, zamiast dawać

poczucie bezpieczeństwa, paradoksalnie przypominała profesorowi o zagrożeniu, co jeszcze bardziej skłaniało go w kierunku paranoi.

Nasłuchiwał stale, zgłębiał delikatną, dziewiczą dla niego anatomię strachu. Pompujące krew tętnice, drżące dłonie, napęczniałe gruczoły potowe i podskakujące w oczekiwaniu stopy. Palce bębnił o blat i na zmianę przesuwały się do lufy, a gdy już wyczuwały chłód metalu, cofały się z pobożną czcią i chwytaly arkusza papieru.

– Mirek nie wrócił – odezwał się nagle głos zza pleców profesora.

Matematyk podskoczył, uderzając kolanem o kant biurka, zacisnął chwyt na strzelbie, ale ta wyslizgnęła mu się i uderzyła krańcem o przeciwległą ścianę.

Irena przyłożyła dłonie do ust, w jej oczach widać było, że natychmiast zaczęła żałować decyzji o poinformowaniu przełożonego. Wpierw wydawało jej się, że to ona ma prawo do niepokojów i nadmiernej wrażliwości, ale to sam Hurwitz wydawał się z godziny na godzinę coraz bardziej zagłębiać w swoje mary.

– Pracuję – odpowiedział pierwsze, co mu przyszło na myśl, po czym przetarł pot z czoła, wygiął w pałąk i dopiero gdy kręgosłup wydał z siebie cichy chrzęst, usiadł z powrotem. – A kiedy miał wrócić? On zawsze znika na całe dni, drewno z lasu ciągnie, albo bimbrownie ma gdzieś i myśli, że nie wiem.

– On by nigdy tak nie zrobił – zarzekła się żona Mirosława, ale w jej głosie słychać było wyraźny brak przekonania. – Może trzeba go poszukać?

– Przez co masz na myśli, że może ja powinienem go poszukać.

– Ano, żeby ktokolwiek go poszukał.

– Ale nie Irena, tak?

Gospodyni umilkła, przez moment gniotła w dłoniach skrawek swojej brązowej spódnicy, ale zaraz po prostu schyliła głowę i zaczęła się cofać do wyjścia.

– Jeśli nie wróci do jutra, to zaczniemy go szukać. A jak tak Irena jest zmartwiona, a nie chce iść go szukać, to zostaje tylko się modlić, żeby go jakie licho nie wzięło leśne. Co tam może jeszcze? Czerwona wstążeczka jak u Mickiewicza? Takie bzdury też Irena wychwała, czy tylko niedźwiedzie widzi?

Drzwi trzasnęły o framugę. Piotr podskoczył ponownie, ale tym razem zareagował rozsądniej, obrócił się i wziął głęboki oddech.

– Zero kultury – stwierdził, gdy już gosposia wyszła, a na schodach rozległy się stłumione odgłosy kroków.

Irena ewidentnie szła powoli i nieregularnie, jakby bała się nastąpić na wbity w deski gwóźdź, albo coś gorszego.

Mijała kolejna godzina, w której trakcie profesor wgapiał się pełen obaw w stos kartek. Rozrzucone we względnie przypadkowej kolejności notatki, przykryły grubą warstwą matematyczne zapiski, które teraz wydawały się mniej przydatne w dotarciu do celu. Widział, że ma przed sobą odpowiedź na pytanie swojego życia, lecz nie umiał go wydobyć.

Jeśli chciał stworzyć maszynę, która potrafiłaby myśleć, to sam musiał opanować to do perfekcji, by móc jej przekazać właściwy wzór. Podświadomie czuł, że każda sztuczność i kłamstwo, powinny odznaczać się jakimś powtarzającym się wzorem, który przez swoją nieprzypadkowość zdradzi zewnętrzną ingerencję.

– Oddychaj ze mnie, jedz ze mnie, wejdź we mnie.

Wstał spokojnie i zaczął powoli przechadzać się z jednego końca pokoju na drugi. Powtarzał pod nosem formułę, akcentował głoski na różne sposoby, próbował dobierać inny ton głosu i głośność, przyspieszał kroku, aż wreszcie spostrzegł, że bębni w okno, krzycząc do siebie we wściekłości.

Rozbrzmiał trzask, dłoń uderzyła o kant framugi, odłupując mały kawałek drewna, który teraz tkwił między palcami matematyka. Ten syknął wściekły, wyrwał szybko szczapę i przyssał się do cieknącej strugi krwi.

Wtem otworzył oczy szeroko, oparł się o biurko i spojrział we własne odbicie w lustrze. Coś zdawało się falować tuż za nim. Wyglądało to, jak słup, szeroki i bardzo wysoki, niknący pod samym sufitem.

Piotr obrócił się raptownie i nie dostrzegł niczego. Mimo to została z nim pewna myśl, a właściwie to coś na wzór jednej nitki, łączącej ze sobą kilka elementów.

Wpierw widział tego dziwnego człowieka w lesie, który miał skórę jak kora brzozy. Gdy rozbił sobie głowę w lesie, to znalazł go Mirosław, który akurat był niedaleko i usłyszał krzyki. Nie wiedział, czy Mirosław widział brzozową istotę, bo nawet nie przyszło mu do głowy go spytać. W końcu zawsze jest takim milczącym mrukiem, który wszystko sobie lekceważy, a nawet ignoruje.

W domu niedźwiedzia widziała tylko Irena, a on sam nie widział go wcale. Jednak ślady pazurów był jak najbardziej realne, a drzwi nie otworzyły się same, w końcu wypalił w nie z dubeltówki.

– Drzwi! – podniósł nagle głos i ruszył do drzwi od przedpokoju.

Podwieszona pod sufitem biura lampa gazowa oświetlała nieznacznie korytarz, pozwalając Hurwitzowi dostrzec ciemniejszą plamę na deskach. Irena nie starła jej jeszcze, z tego czy innego powodu, a sama plama już powoli zmieniła się w wilgotny, zabarwiony kształt, przesączający się przez słoje drewna.

– Nie powinienem – powiedział Piotr sam do siebie, ale już po chwili wracał do miejsca plamy, trzymając w dłoni czworoboczną szklanę o cienkich ścianach.

Nachylił się do podłogi, przyłożył bok naczynia do cieczy i ostrożnie, z pietyzmem zaczął zagarniać krew do środka, aż uzbierało się dość na pół małego kieliszka.

Trzymając szkło ostrożnie w dłoniach, aby przypadkiem nie zmarnować ani kropli zawartości, ruszył w dół schodów. Na parterze zatrzymał się nagle i spojrzał osłupiały w kierunku kuchni, oświetlonej dwoma lampami gazowymi.

– Mam się zacząć bać? – spytał półzartem.

Irena obróciła się w kierunku przełożonego, dzwoniąc zwisającymi jej z szyi różańcami i medalikami z matką boską. W jednej dłoni trzymała spory, drewniany krzyż z miedzianą figurką Chrystusa, a w drugiej miotełkę, nasączoną wodą różaną.

– Oczyszczam dom ze złych duchów.

Profesor zamrugął kilka razy, już miał otworzyć usta, ale nagle spojrzał na szklanę krwi niewidzialnego niedźwiedzia i pokręcił głową na boki.

– Obawiam się, że podejście deontologiczne może upaść w starciu z empirią.

Irena nawet nie odpowiedziała, pokropiła tylko wodą framugę drzwi kuchennych, w których leżała rozsypana sól. Jej wzrok błędził gdzieś po suficie, jakby śledząc niewidoczne gołym okiem rury, idące po całym domu.

Matematyk zagryzł usta, zły, że nawet własna gosposia nie słucha go na jego posesji. Odłożył szklanę na kominek i powiedział twardo:

– Niech wreszcie Irena przestanie się miotać i przygotuje rumianku... I masz zamieszać trochę miazgi z kasztanów. A to wszystko zalać wrzątkiem z samego rana i zostawić mi na stole, w dzbanku ze świeczką pod spodem, by nie wystygło.

– Będzie pan profesor mył rano biurko? – zdziwiła się Krzysiakowa.

– Powiedziałem coś – warknął matematyk, chwycił ponownie za szklanę i wrócił na górne piętro.

Irena wzruszyła jedynie ramionami i przeżegnała się w ślad za gospodarzem.

Nawet wiele godzin później, gdy na zewnątrz panował już mrok, Piotr dalej nie mógł zasnąć. Cały czas miał przed oczami znaki, sunące w krąg dookoła białej głowy, z wylupiastymi, świecącymi ślepiami.

Co chwila w nerwach wstawał i ruszał ramionami, jakby szykował się do dźwigania ciężarów. Następnie sprawdzał, czy strzelba przy łóżku jest naładowana, a w szklance na parapecie nie ubyła ani jedna kropla mętnego płynu.

Momentami zaciskał palce na szklance, zbliżał ją do ust, brał głęboki wdech i zatrzymywał się w ostatniej sekundzie. Wciąż bił się z myślami, szukał rozwiązań, ale zamiast nich, pojawiały się jedynie natrętne szepty.

W mroku, rozbijanym jedynie światłem księżyca, płyn był właściwie czarnym walcem, wysokim ledwie jak szeroka jest sosnowa igła. Piotr spoglądał na niego, próbował zrozumieć, skąd się wziął, co zawierał i jak go nie zmarnować. Był to jedyny, namacalny dowód wydarzeń, jakie miały miejsce przez ostatnie dwa dni.

Piotr skrzywił się nagle i otworzył okno, przez które do domu wleciał zimny wiatr. Gdzieś na granicy słyszalności zdawało mu się, że coś słuchać. Mimo wyężania zmysłów słyszał jedynie cichy szelest liści i dzwonięcie w uszach.

Dopiero po dłuższym nasłuchiwaniu zrozumiał, że słyszy dzwony, dobiegające gdzieś od zachodu.

– Niby komu mogą bić dzwony w środku nocy? Ot i ciekawostka – zadziwił się Piotr, wychylił przez okno i oparł dłońmi o zewnętrzny parapet.

W nosie zakręciło mu się od świeżego, przenikliwego zapachu lasu. Zewsząd dobiegł go intensywny, trudny do zidentyfikowania zapach ziół, żywicy i już po chwili tracił równowagę własnego ciała.

Ostatnim ruchem szybko zaparł się nogami, poprawił uchwyt i z powrotem zagłębił się do wnętrza swojego gabinetu, przy okazji przewracając krzesło. Wewnątrz biura było nagle przenikliwie zimno i przestało pachnieć kurzem.

Na parapecie bezgłośnie wylądowała sowa, zapierając się ostrymi szponami o krawędź. Masywne, wypatrujące w ciemności oczy świeciły się złotem i zielenią. Zwierzę zdawało się zaglądać do środka obcego domu z zainteresowaniem, nie rozumiejąc tego, kto go zamieszkuje.

Piotr otworzył lekko usta, obserwując z zaciekawieniem nocnego drapieżnika, po czym dostrzegł, jak tuż za obrębem okna ciemność faluje, jak powietrze w upalny dzień.

Sowa nastroszyła wysokie brwi, rozchyliła leciutko czarny dziób i zniknęła, pociągnięta w ciemność nieznaną siłą. Zaraz za nią rozbrzmiał pokraczny, zboląły pisk.

Hurwitz wstał, przypadł do okna i zamknął je szybko, niemal tłukąc szybę. Przy zawiasach tkwiło jedno, brązowe pióro, udowadniając, że to, co widział, nie było jedynie przywidzeniem, a realną wizytą.

Matematyk przełknął głośno ślinę, cofnął się nieporadnie kilka kroków i schował pod kołdrą leżanki. Zacisnął oczy z mocą, wtulił głowę w ramiona i przez resztę noc, nie mogąc zasnąć, ignorował ciche drapanie w fasadę budynku i cienie zasłaniające księżyc.

* * *

Poranek przywitał profesora krzykiem.

Hurwitz zerwał się z łóżka, odruchowo spojrzął, czy na parapecie na pewno jest szklanka z krwią, a dopiero później chwycił strzelbę i zaczął powoli skradać się w kierunku schodów.

Z dołu dobiegały go jakieś gorączkowe szepty. Wydawało mu się, że słyszy szelest liści i trzeszczenie gałęzi. Schodził bardzo powoli, krok po kroku, mierząc lufą w stopnie, jakby spodziewając się, że coś go chwyci za kostkę.

– Pij, pij, tylko spokojnie – mówił ktoś cicho, choć głos sam był przepełniony lękiem.

Profesor zatrzymał się w pewnym momencie, omiół salon wzrokiem i wymierzył w dwa, kłębiące się przy szezlongu cienie.

– Niech pan tylko spojrzy – odezwał się jeden z cieni do matematyka.

Piotr zmrużył oczy i dopiero po chwili kontury zaczęły się wyostrzać, a sylwetki nabierać sensownych kształtów i głębi barw. W pokoju leżał Mirosław, pokryty zaschniętym błotem, z czerwonymi rankami prześwitującymi spod warstwy brudu.

– O, wróciłeś – odpowiedział beznamiętnie i po chwili dodał. – Naszykowała mi Irena tego rumianku?

Służąca rozchyliła usta, nie umiejąc nic odpowiedzieć, na tak zaskakujące pytanie. Przez chwilę jeszcze mechanicznym ruchem ocierała ścierką twarz męża, aż przestała, wyprostowała się i wskazała palcem na przełożonego.

– Niech pan spojrzy, co tu się wyprawia! Przecież on jest cały przeorany, jeszcze ledwie co zrozumieć można. Tu się dzieją złe rzeczy i ja już mówiłam, że trzeba po księdza posłać, żeby z kadzidłem przyszedł i...

– No, tyle dobrego – powiedział profesor, widząc czajnik na blacie kuchennym. – Bo będę potrzebował i mogę wrócić późno.

– Starczy tego dobrego. Pan profesor się zachowuje, jakby ciągle pijany chodził, nie robi tylko siedzi w tej swojej norze, a tu tragedia za tragedią! Jakby nas wszystkich wichura zmiotła, to pan by tylko kartki łapał na wietrze.

Hurwitz obrócił się wreszcie w kierunku dwójki i zacisnął dłoń na strzelbie.

– Tym bardziej powinniście mnie wspierać w tym, by dowiedzieć się, co takiego się stało, że... – urwał nagle Piotr i zamachnął wolną ręką dookoła siebie, jakby chciał wskazać na wszystko jednocześnie.

– Myślę, że powinniśmy pojechać na jakiś czas stąd. Powiedz mu sam Miruś.

Przez moment Piotr i Irena patrzyli się na umęczonego mężczyznę, który tylko niemrawo ruszał zwisającą ręką i właściwie już zasypiał na ich oczach.

– Wpierw spotkałem człowieka... – zaczął, biorąc długie przerwy na oddech i świszcząc przy każdym wydechu. – Blady jakby diabła zobaczył, ale to ja zląkłem się bardziej.

– Był wysoki, miał nijaką twarz i czarne strupy na skórze? – dopytał szybko profesor.

– Nie. Był zwykły wzrostem, a i twarz miał taką sobie, ot nieco starawą, suchą, tylko bladą, jak i skórę, ale w żadnym wypadku nie żadne strupy. Ot siedział sobie na mchu i rysował palcem na drzewie. Miał pazur, którym w korze coś skrobał, ale co takiego to nie dojrzałem, bo i po co. Dotknął mnie nagle, ale tak dziwnie jakoś, jak matka wysyłająca syna w drogę, albo zwyczajnie jakby był przygłupi, czy ślepy.

Mirosław podniósł się ostrożnie, jęcząc przy tym ze zmęczenia, psiocząc na bolące stawy, ale zaraz wlepił wzrok w podłogę i grobowym tonem dodał:

– Potem było dziwnie. Widziałem, jak grymasi, krzywi się i przybliża, no to go tak uderzyłem, ale zwyczajnie...

– Mirek! – podniosła głos Krzysiakowa, która z nerwów już paznokciami wierciła dziurę w spódnicy.

– On zaczął się do mnie z łapami łąsić, no to mu przydzwoiłem, ale aż mnie ręka zaboląła, a on ledwie się wygiął i zamarł. Już myślałem, że go zepsułem czy co, ale wtedy jak nie fiknął, przywalił mi, aż się nogami nakryłem, stąd taki puchlak na policzku u mnie. Zerwałem się stamtąd, zacząłem uciekać, ale zgubiłem drogę. Ciężko to opowiedzieć, bo sam nie wiem, co widziałem, ale wszystko się zmieniało, ruszało i miałem wrażenie, że to nie ja biegłem, tylko cały las uciekał.

Profesor skubał brodę coraz zacieklej, przez jego głowę przechodził istny huragan myśli, a co druga z nich wprawiała go na zmianę w osłupienie i przerażenie.

– Wpadłem w jeżyny, spadłem do jaru, wygrzebałem się i pobiegłem dalej. Na szczęście w miarę szybko znalazłem drogę do domu.

Na moment zapadła cisza, Krzysiakowa wpierv nie była pewna, czy dobrze zrozumiała, natomiast profesor rozchylił usta, kompletnie wybity z pantaląku.

– Nie było cię cały dzień i noc – szepnął matematyk.

– Z godzinkę może – mruknął Krzysiak, nie widząc w tym nic dziwnego.

– Nie, nie rozumiesz, nie było cię dobę, okrągłą, zegarową. Przecież to nie jest możliwe, jesteś pewien, że nie zemdlałeś? Może jak cię uderzył ten człowiek w lesie...

– Ledwie mnie obalił, nawet oczu nie zmrużyłem.

– To chyba dobry moment, byśmy sobie powiedzieli... – dorzuciła Irena, kiwając głową w kierunku męża. – Powinniśmy stąd wyjechać jak najszybciej. Tutaj nie jest bezpiecznie, nie wiadomo co się dzieje z tym niedźwiedziem, a to niebezpieczne zwierzę jest i ja nie mam zamiaru dłużej tak wytrzymać. Dzieci zostawić w domu na dwa, może trzy tygodnie to jedno. Józef jest już dorosły chłop, obejścia pilnuje, reszta sobie radzi... Tylko jedno to zostawić dzieciaki na jakiś czas, a co innego osierocić.

– Też bym już wracał – odparł Mirosław, masując skronie.

Na moment atmosfera się rozluźniła. Zdawało się, że nawet pierwszy od wielu dni promyk słońca wpadł przez okno, przemknął między oczkami firan i opadł na oparcie jednego z foteli.

– W takim razie wracajcie sobie – odparł Profesor, chwycił jedną dłonią ucho, drugą szijkę dzbanka z rumiankiem i zaczął wchodzić na górne piętro. – Robicie to na własną odpowiedzialność, powodzenia.

– Niech profesor jedzie z nami, przecież to niebezpieczne i daleko! – krzyknęła Irena.

– Pojadę automobilem jutro albo pojutrze, bo mam coś jeszcze do zrobienia. Weźcie swoje toboły i idźcie, skoro tak się boicie jednego niedźwiedzia i leśnego anemika. Poradzę sobie sam.

Drzwi zamknęły się za profesorem i zapadła cisza. Przez moment zastanawiał się jeszcze, czy nie wrócić po dubeltówkę na dół, ale miał już dosyć myślenia o prozie życia i chciał wreszcie sfalsyfikować to, co nie dawało mu spać.

Szklanka z krwią stanęła na biurku, tuż obok jeszcze parującego czajnika z wodą rumianą. Po chwili z długiej szyi porcelanowego naczynia trysnęła struga, zalewając szklankę do połowy objętości. Ciecz po zmieszaniu była mętna i bursztynowa.

Światło zadrzało dookoła naczynia, jakby załamywało się i lekko odbijało od jakiejś niewidzialnej gołym okiem bariery. Na granicy słyszalności rozbrzmiał szmer, zdający się dziesiątkami nakładających się na siebie głosów.

Piotr poczuł, jak coś pęka mu w uszach, delikatna różnica ciśnień, jak w czasie wspinaczki na niewielką górę. Przez moment spoglądał jeszcze w kierunku naczynia, które szybko objął lewą dłonią, przysunął do ust i zamarł w bezruchu.

Rozbrzmiał warkot, a razem z nim kilka podniesionych głosów w oddali.

Jednakże profesor od razu rozpoznał znajomy odgłos, rozchylił usta w niedowierzaniu i odłożył szklankę na biurko, nieomal ją rozbijając.

– Szelma! – ryknął Hurwitz, kopiąc krzesło i zaraz zbiegł po schodach.

Samochód profesora zaczął nabierać prędkości, kierowany przez Mirosława w stronę gęstych zarośli, które opanowały drogę do dachy. Pojazd oddalał się od posesji, zostawiając za sobą jedynie siwą chmurę spalin i przekleństwa okradzionego właściciela.

Wtem matematyk rozłożył ręce szeroko, poczuł, jak coś łapie go za nogę, a jego ciało wzbija się wysoko. Głośny łoskot poniósł się echem po domu, zaraz za nim głuche, basowe uderzenie o podłogę.

Wiadro, o które potknął się Piotr zbiegając, zaczęło kołować przewrócone po panelach, rozlewając pomyje. Sam poszkodowany z trudem obrócił się na bok, krwawiąc z rozbitego czoła.

W oddali niósł się cichnący odgłos silnika Junaka, który nagle urwał się do wtóru potężnego skowytu, który przemknął nad lasem. Sam profesor jednak nie dawał już o to baczenia, zamiast tego powoli trwał z zamkniętymi oczami, dając się ponieść fali nagłej senności, przerywanej paroksyzmami bólu.

Ciemność w pewnym momencie została zastąpiona przez ciemnoszarą poświatę, szum zmienił intonację, aż wreszcie matematyk poczuł, że zaczyna na nowo odczuwać. Podmuchy zimna lizały go co rusz po odsłoniętych partiach ciała, aż w końcu ciche pukania bólu w czaszce zmieniły się w uderzenia kowalskiego młota.

Piotr otworzył oczy i dostrzegł pojedynczy, zielony listek. Zaraz za listkiem znajdował się kolejny liść, nieco większy, a dalej kolejny i następny, aż w końcu zrozumiał, że z powały domu zwisa gałązka akacji.

Nozdrza rozszerzyły się, zwęziły i tak parę razy, aż Hurwitz pojął, że czuje wyraźny zapach rumianku. Czucie w kończynach wracało bardzo powoli, falami oblewając jego zmarzniętą skórę.

Delikatnie obruszył swoją głowę, jakby do tej pory była gwoździem, wbitym w deskę własnego karku. Wszystkie zmysły reagowały niezwykle ospale i pojedynczo, jakby nie mogły współodczuwać.

Widok gałęzi, dźwięk szumu liści, zapach kwiatów, poczucie zimna, smak krwi w ustach.

Las był w domu.

Po oparciu szezlongu spływała powoli długa, cieniutka gąsienica koloru lilii wodnej. Zaraz nad framugą drzwi kwitła pasożytnicza jemioła, wczepiająca się chwytными korzonkami drewna, jakby ciosana i lakierowana deska mogła dostarczyć jakichkolwiek wartości odżywczych.

Było już ciemno, z każdą chwilą promyki słońca czerwieniały i znikwały za szparami, jakby opuszczając stygnącą z życia daczę.

Gdzieś za ścianą zawarczało zwierzę, odchrząknęło jakby po ludzku i zaraz postawiło kilka masywnych kroków, ocierając się futrzastym bokiem o fasadę budynku. Coś spłoszyło stado ptaków, trzepoczących skrzydłami z ogromną mocą.

Profesor mógł dostrzec z podłogi miejsce, gdzie kończył się parapet i dało się przez szczyt okna dostrzec oranżowe niebo. Kilka dziobatych stworzeń o wielu skrzydłach przefrunęło wysoko i zniknęło, a przynajmniej tak mu się wydawało, bo niczego już nie był pewien we własnej głowie.

Z ogromnym trudem były gospodarz domu dotknął rozbitego czoła i poczuł zakrzepniętą strugę krwi, która zdążyła polać się z czoła na policzek. Wydał z siebie cichy jęk bólu i spróbował wstać.

Wpierw nogi odmówiły posłuszeństwa, więc po prostu przewrócił się na bok i spróbował przynajmniej podeprzeć się na jednym kolanie, opierając się plecami o fotel.

Rozległ się potworny, basowy ryk, od którego zdrząły fundamenty domu. Gałęzie pod stropem zakotłowały się, jak macki ośmiornicy i zaczęły zniżać się szybko do podłogi, rosnąc w oczach.

– Nie – szepnął profesor, z trudem powstrzymując wymioty.

Świat zdawał się wibrować, krawędzie najeżdżały na siebie i odbijały, jakby ktoś próbował minąć własne odbicie w lustrze. Dźwięki potrafiły się urwać nagle i niespodziewanie, a zapachy zmienić z przyjemnych i orzeźwiających na odpychające i ciężkie.

Hurwitz dźwignął się z wysiłkiem, oparł o fotel i zaczął ciężko dyszeć, czując narastające pieczenie na skórze. Dopiero wtedy zrozumiał, że coś stało się z jego ciałem. Na skórze osiadł delikatny, biały pyłek kwiatowy, który zdawał się wżerać w cebulki włosowe i zionąć chłodem ze środka.

Matematyk z trudem postawił pierwszy krok i omal nie przewrócił się na ziemię, przy okazji następując na rączkę leżącego wiadra.

Gdzieś na zewnątrz rozległ się charkot i coś zaczęło drapać w drzwi na wysokości drugiej połowy. Odgłosy pazurów jeżdżących po drewnie sugerowały, że ostre zakończenia przebijały drzwi ganku z łatwością.

Piotr zrobił kolejny krok, następny i z wysiłkiem przyskoczył do schodów, puszczając się fotela, by w zamian chwycić się poręczy.

Trzasnęły łamane deski. Szczapy pofrunęły na wszystkie strony, dając pewność, że cokolwiek było na zewnątrz, właśnie sforsowało ganek i zbliżało się do drzwi, przy których stał sam Hurwitz.

Profesor zrobił pierwszy krok na schodach i świat ponownie zadrżał w posadach. Treść żołądkowa wywindowała się w górę przełyku, piekąc koszmarne i przyprawiając właściciela o zawroty głowy.

Krok za krokiem, matematyk niezwykle powoli człapał na piętro, obiema dłońmi opierając się o pobielone ściany, zostawiając na nich długie, czarne smugi. Na ścianach powoli pojawiał się zielonkawy nalot, a w ślad za Hurwitzem, niezwykle powoli sunęły korzenie wielkiej akacji.

Ledwie tylko Piotr pokonał ostatni stopień, wkroczył do swojego gabinetu i zwałił się bez sił na leżankę, gdy z parteru dobiegł łoskot wyłamywanych drzwi. Wystrzelone w powietrze kawałki zbiły którąś z szyb, robiąc jeszcze więcej hałasu, bombardującego zakrwawioną, obolałą głowę Hurwitza.

Matematyk wstał tytanicznym wysiłkiem, spojrzął na drzwi do przedpokoju i wsłuchał się w powolne, drapieżne kroki, pod którymi gięły się schody. Wiedział, że nie zdąży uciec, zresztą nie miał gdzie.

Ostatnimi siłami zamknął drzwi, zapał się mocno o regał z książkami i jedynie bezradnie wypuścił powietrze nosem. Twarz profesora nabrzmiała od pompowanej krwi, ale mebel nawet nie drgnął.

– Ja już nie chcę wiedzieć, co tam jest – szepnął cicho i usiadł przy biurku.

Kolejne kroki były coraz głośniejsze, dudniły echem między ścianami, zapowiadając nadejście wielkiego, nieznanego intruza.

Piotr odetchnął ciężko, grdyka przejechała mu w górę i w dół, po czym schował twarz w dłoniach i załkał. Stworzenie było już tuż za drzwiami i zaczynało powoli napierać na przeszkodę, gdy w obolałej głowie matematyka rozbrzmiała ostatnia myśl.

Dłoń profesora sama powędrowała w kierunku wystygłej szklanki krwi i rumianku. Palce przez chwilę dygotały ze strachu, odmawiając posłuszeństwa, twarz krzywiła się w grymasie odrazy, ale desperacja i głód poznania były silniejsze.

Hurwitz haustem wypił zawartość szklanki i wypuścił ją natychmiast z rąk. Natychmiastowo chwycił się za gardło, krzywiąc się z obrzydzenia. Rozległ się trzask tłuczonego szkła, które prysnęło na wszystkie strony.

Wtem wszystko zwolniło, kontury przestały się rozstrajać, a gałęzie sunące delikatnie wewnątrz ścian, zaczęły powoli wychylać się przez nowo utworzone dziury i wypuszczać drobne, różowe pączki.

Drzwi otworzyły się z hukiem, a chwilę potem przez próg przeszedł wysoki, bladej nieznajomy, którego wcześniej widział Hurwitz.

Twarz obcego była dziwna, ludzka, ale bez znaków szczególnych, jakby odlana na potrzeby manekina wystawowego. Głęboko osadzone i przy tym wyraźnie błyszczące oczy przypatrywały się wszystkiemu z ciekawością.

Biały człowiek w miarę zbliżania się do profesora rozwiewał dookoła zapach akacji i wypuszczał z siebie drobiny gęstej, pąsowej mazi. W końcu długi, gładki palec obcego dotknął czoła naukowca, który jedynie dyszał ciężko i nie miał nawet siły uciekać.

W nagłym przyływie olśnienia Piotr zrozumiał, że pierwszy raz od wielu dni czuje spokój. Jego serce zwolniło na krótki moment, a umysł przestał próbować wycisnąć z wszystkiego drobiny informacji. Zamiast tego dał się ponieść chwili i rozkoszował otoczeniem i tym, co oferowało.

Słońce zniknęło za horyzontem, gdy cały dom razem z nim układał się do snu. Dziury po niedźwiedzich pazurach zapełniły się miękkim mchem, framugi po wybitych drzwiach zarosły kwiecistymi pnączami, a w powietrzu zamiast kurzu unosiły się jedynie drobne, białe motyle, szukające schronienia.

– Byłeś mi tak samo obcy, jak ja tobie – odezwał się nieznajomy, nawet nie poruszając ustami. – Nie wszystko możesz poznać, jeśli sam tego nie doświadczysz. Potrzebujesz kamienia, który myśli.

– Potrzebuję kamienia, który myśli – szepnął bezwolnie profesor, zamykając oczy.

Istota pokiwała głową z niemalże ludzkim zrozumieniem. Przez krótki moment objęła mniejszego od siebie człowieka i odsunęła się o krok, przestępując nad wijącymi się po ziemi korzeniami drzew.

– Przybyłem z darami, z innego miejsca. Musimy się tu wpierw zadomowić, naprawić się i zrozumieć was więcej. Do tego czasu, możesz otrzymać to, co jest ci pisane.

Matematyk wziął ostatni oddech, żegnając istotę i oparł się wygodnie w krześle. Czuł, jak jego uszy wypełniają się powoli woskiem, jak zatyczkami, pozwalającymi zasnąć.

Poddasze objęła ciemność, a Hurwitz jedynie siedział i myślał bardzo powoli i ostrożnie. Każda jego myśl była przeciągnięta do granic możliwości, by nie zmęczyć płóczego serca, które uderzało rzadko.

Po ciemności przyszła znowu jasność, świt wstawał z jednej strony, a następnie jutrzienka ustępowała miejsca zachodowi, który oświetlał zastygłą w bezruchu twarz profesora na poddaszu.

Mijały dni, miesiące, lata. Dookoła szalały wichury, padały deszcze, śniegi, strzelano z karabinów i szyto z łuków, ryczały giganty i brzęczały pszczoły, a profesor dalej spał kamiennym snem.

Z czasem zaczęli pojawiać się ludzie, ludzie w skórach i rogach, którzy wpierw nieufnie obserwowali statuę matematyka, a z czasem pielgrzymowali regularnie, by zawiesić mu sznury ciecierzycy na szyi.

Piotr widział ich tańce, modlitwy i śpiewy. Czasami myślał sobie tylko cicho, że chciałby im błogosławić za te wszystkie dary, ale sam nie wiedział, czy mógł, bo był tylko rzeźbą, a nie bogiem. Więc od święta jedynie uderzał sercem, gdy przychodzili, jakby dziękując obcym i życząc powodzenia, choć nikt nie mógł tego dostrzec.

Aż pewnego dnia, choć matematyk nie wiedział już jak długo później, przyszedł ktoś nowy. Odslaniając zarośnięte girlandami kwiatów zasłony, zbliżyła się czwórka osób w jelenich porożach, jeden z nich miał złamany róg i oko przeszklone żywicą.

Dwójka rogatych stanęła pod ścianami, rozglądając się po półkach i pod meblami, najniższa z postaci stanęła obok tego z jednym rogiem, a on sam zbliżył się do profesora.

Hurwitz spodziewał się, że nieznajomi złożą kwiaty, kilka drobnych darów, odśpiewają przytłumioną filtrami powietrza pieśń i odejdą. Zamiast tego nieznajomy z jednym rogiem zbliżył się i odgarnął biały pył z czoła profesora.

Po krótkiej chwili minął go i zrobił coś, czego nie zrobił nikt do tej pory. Ostrożnie starł kurz z notatek profesora i obejrzał dokładnie rysunek białej postaci o trzech aureolach, po czym odczytał głośno:

– Oddychaj ze mnie, jedz ze mnie, wejdź we mnie.

– Nie powinniśmy tego dotykać, nigdy nie wiesz, co się stanie – odpowiedział najmniejszy z rogaczy, damskim głosem.

– Trzeba szukać mądrości ludowej wszędzie – odpowiedział jednorogi, zagarniając zapiski do torby i spoglądając w twarz zatrzymanej w czasie statule profesora. – Bardzo lubię waszych bogów, są bardzo ludzcy, w tym co robią. Ten pewnie też kiedyś pił herbatę, jak i my.

– Ryzykownie szukasz mądrości, to pozwól, że uraczę cię jedną z nich za darmo, tak żebyś nie musiał gonić ich po lesie. Ciekawość zabiła kota Drozd.